

MAM

NA IMIĘ

~~MARGARETA~~

Selma

WSPOMNIENIA OCALONEJ Z RAVENSBRÜCK

Selma van de Perre

 WIELKA LITERA

fragment książki

Opuszczenie domu – ukrywający się bliscy

To, że Loutje musiał się stawić do transportu, wreszcie nas otrzeźwiło. Zrozumieliśmy, że i my wkrótce zostaniemy deportowani. Tata kazał Clare i mnie zaszczepić przeciwko śmiertelnym chorobom, takim jak dżuma i błonica. Nie wiem dlaczego, ale ani on, ani *mams* nie byli zaszczepieni; wydaje mi się, że swoje zdrowie uważali za mniej ważne od naszego. 7 czerwca 1942 roku obchodziłam dwudzieste urodziny. Dzień, który powinien być świętem, stracił urok, bo dostałam wezwanie, by stawić się na dworcu centralnym do transportu do obozu pracy w Europie Wschodniej. Nie wiedzieliśmy wprawdzie, co się dzieje z ludźmi deportowanymi do obozów, ale ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę, było pozostawienie rodziny i wyjazd w pojedynkę. W rzeczywistości byłam

jeszcze dzieckiem. Aby zyskać na czasie, ojciec dał mi czekoladę ze środkiem przeczyszczającym, po której nabawiłam się okropnej biegunki. Wezwał lekarza, a ten wystawił zaświadczenie, że w moim kale jest krew. Dostałam dokument zwalniający mnie z wywózki do obozu pracy, był on jednak ważny tylko kilka dni. Potrzebowałam czegoś pewniejszego. Ze względu na to, że do transportu nie brano osób zatrudnionych w pewnych branżach, na przykład pielęgniarek, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Dientje Jesse, bliska przyjaciółka mojej kuzynki Zetty, która nie była Żydówką, przed zamążpójściem pracowała w tym zawodzie. Pożyczyłam od niej strój pielęgniarki, włożyłam go i poszłam do wydziału wydającego zwolnienia z transportu w dzielnicy Amsterdam-Zuid. Przed budynkiem ustawiono ławę służącą za biurko. Siedziała przy niej kobieta, a obok stał esesman. Kolejka była bardzo długa. Zdawała się nie kończyć, a ja coraz bardziej się denerwowałam. Obawiałam się pytań, które mi zadadzą, żeby sprawdzić, czy mówię prawdę, ale kiedy przyszła moja kolej, kobieta stwierdziła tylko, że zmiana zwolnienia z powodu choroby na zwolnienie z powodu wykonywanej profesji jest nielegalna. Kazała mi się zgłosić następnego dnia do transportu do Europy Wschodniej.

Wiązałam duże nadzieje z moim planem, dlatego okropnie rozczarowana poszłam do państwa

de Jongów, aby ich zawiadomić, że już nie będę mogła tam pracować. Kiedy do nich dotarłam, rozmawiali w ogródku z sąsiadem, który był żydowskim uchodźcą z Niemiec i razem z bratem prowadził fabrykę futer. Zmuszono go do produkcji ubrań dla niemieckich żołnierzy wysyłanych na front wschodni. Usłyszałam, co powiedziałam, i ku mojemu zdumieniu zaproponował: „To ja cię przyjmę do siebie”.

Ze względu na to, że chodziło o pracę związaną z działaniami wojennymi, nie musiałabym jechać do Polski. Trudno mi było uwierzyć w tę nagłą zmianę sytuacji. Co za szczęście, że zdecydowałam się podjąć ryzyko i porzuciłam zajęcie u Mittwocha, a zatrudniłam się u państwa de Jongów! To nie będzie zresztą ostatni przypadek, kiedy w czasie wojny zwykły łut szczęścia uratuje mi życie. Z ulgą wróciłam do domu – tamtego wieczoru mieliśmy poczucie, że jest co świętować w dniu moich urodzin. Pełna zapału zgłosiłam się następnego ranka w fabryce futer i zaczęłam się uczyć zawodu. Szyłam rękawiczki i inne futrzane akcesoria.

Tymczasem sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Pewnego dnia tata wrócił do domu i opowiadał, że Niemcy aresztują na ulicach chłopców i młodych mężczyzn. Kazał mi ostrzec kuzynów, Mauritsa i Davida, synów wuja Ariego i ciotki Sary. Mieszkali piętnaście minut od nas. Patrząc wstecz,

zdaję sobie sprawę, jakie to było dziwne. Dziewczęta również zatrzymywano na ulicy, ale nie wiadomo dlaczego nikt z mojej rodziny nie pomyślał o tym, że ryzykuję. Choć miałam dwadzieścia lat, bliscy uważali mnie za dziecko. Ze względu na to, że Clara i ja byłyśmy znacznie młodsze od Louisa i Davida, a także od naszych kuzynek i kuzynów, zawsze traktowano nas jak małe dziewczynki. Gdy rodzice i bracia szli na rodzinne spotkania, zostawałyśmy w domu i czekałyśmy, aż wrócą i przyniosą nam ciasto z uroczystości. Tacie nie przyszło nawet do głowy – mnie zresztą też nie – że wychodząc z domu, narażę się na niebezpieczeństwo. Dopiero kiedy w drodze powrotnej zobaczyłam, jak do ciężarówek ładują chłopców i dziewczęta, zdałam sobie sprawę z ryzyka. Zakryłam gwiazdę Dawida i uciekłam przestraszona do domu, modląc się, żeby Niemcy mnie nie zauważyli.

Wujek Arie i ciocia Sara usiłowali od jakiegoś czasu wyjechać do Szwajcarii razem z synem Mauritse, który miał już żonę. Po moim ostrzeżeniu podjęli kolejną próbę. Teść Mauritsa był zamożnym handlarzem diamentów, rodzina mogła więc zapłacić dużą sumę temu, kto by im pomógł przekroczyć granicę. Tak jak im polecono, czekali na przemytnika w kawiarni, ale zamiast uciec w bezpieczne miejsce, zostali aresztowani przez niemiecką policję. Wydał ich mężczyzna, którego tak sowicie opłacili. Zakładam,

że zdrajcy nie zdawali sobie wtedy sprawy ze straszliwych skutków donosicielstwa i działali ze zwykłej chciwości. Oprócz żydowskich pieniędzy dostawali również od Niemców wynagrodzenie wypłacane za każdą zadenuncjowaną osobę – siedem guldenów od głowy. W tamtym czasie była to znaczna suma – równała się wysokości tygodniowego zasiłku – i dla niektórych stanowiła pokusę zbyt silną, by się jej oprzeć. Żydzi nie wiedzieli, komu mogą zaufać, a wujek Arie z rodziną byli bardzo zdesperowani, dlatego zaryzykowali. Po zatrzymaniu niemiecka policja odesłała ich do domu. Trafili do transportu kilka tygodni później podczas regularnej akcji wysiedlania Żydów. Ich najstarszy syn David, który studiował medycynę i ukrywał się w Hilversum u kolegi studenta, był właściwie bezpieczny. Tamtego wieczoru postanowił jednak przyjechać do domu po książki. I właśnie wtedy Sicherheitsdienst* zatrzymała całą rodzinę i deportowała ją do Auschwitz. Davida też. Już nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy. To, czy ludzie przeżyli, czy zginęli, zależało często od przypadkowej decyzji podjętej w ciągu sekundy. Mój ojciec też zastanawiał się nad ucieczką do Szwajcarii, ale po tym, co stało się z wujkiem Ariem i jego bliskimi, przestraszył się. No i wciąż nie wiedzieliśmy, jaki

* Służba bezpieczeństwa (niem.).

los czekał ludzi, którzy trafiali do transportu do Europy Wschodniej. Dalej sądziliśmy, że jadą do obozów pracy.

Tymczasem alianci rozpoczęli bombardowania. Jeden z ładunków spadł blisko naszego domu, ale na szczęście uszkodził tylko okno. Mimo niebezpieczeństw, które za sobą niosły, cieszyliśmy się z nalotów, bo były znakiem, że alianci walczą z nazistami, a my żywiliśmy naiwną nadzieję, że wojna wkrótce się skończy. A ona coraz bardziej się do nas zbliżała. Ojciec był kolejną osobą, która miała się zgłosić do obozu pracy w Drenthe, cztery miesiące po tym, jak nadeszło moje wezwanie. Może mogliśmy znowu wymyślić jakiś wybieg, ale obiecywano, że jeśli mężczyzna się zgłosi, jego żona i dzieci nie trafią do wywózki. Wierzyliśmy w to, dlatego tata stwierdził, że będzie lepiej, jeśli się stawi. Choć nasze serca krwawiły podczas pożegnania, 2 października ojciec wyruszył raźnie do punktu zbornego. Załamaliśmy się, kiedy dotarła do nas wiadomość, że w dniu przyjazdu do obozu pracy w Drenthe został natychmiast wysłany do obozu przejściowego Westerbork. Nie spodziewaliśmy się tego. Może uznano, że nie nadaje się do pracy? Po wojnie dowiedziałam się, że wszyscy mężczyźni z obozu pracy byli deportowani do obozu przejściowego.

Westerbork został założony w 1939 roku przez holenderski rząd dla żydowskich uchodźców z Niemiec,

czyli w celach humanitarnych. W chwili ataku III Rzeszy na Holandię w obozie przebywało ponad siedemset Żydów. Jak na ironię jego istnienie ułatwiło sprawę nazistom. Odizolowane położenie obozu również stanowiło dla nich korzyść. Prowadzące do niego piaszczyste drogi były nieutwardzone i podczas ulewy zamieniały się w bajoro. Początkowo Westerbork znajdował się pod zarządem władz holenderskich, kiedy jednak przejęli go Niemcy, natychmiast przekształcili go w obóz przejściowy dla Żydów. Otoczyli teren drutem kolczastym, wybudowali siedem wież strażniczych i postawili baraki. Ostatecznie w obozie znalazło się sto siedem baraków, a każdy mógł pomieścić trzysta osób. Ludzie, którzy szli do transportu, mogli wziąć ze sobą walizkę albo plecak opatrzoney etykietką z ich nazwiskiem, datą urodzenia i słowem „Holandia”. Tata kupił dla nas duże plecaki, bo tak radzono Żydom na wypadek deportacji do Europy Wschodniej.

Na pierwszy rzut oka codzienne życie w Westerborku wydawało się stosunkowo znośne. Obóz był częściowo prowadzony przez wybrane do tego celu żydowskie władze. Przebywający w obozie mieli dostęp do służby zdrowia, edukacji i zajęć sportowych, a raz w tygodniu organizowano występy kabaretu. Wrażenie normalnego życia było tak przekonujące, że moja kuzynka Sarah, którą odwiedziłam kiedyś

z babcią w domu dziecka, wzięła nawet ślub w obozie. W 1941 roku przyjechała do Amsterdamu, żeby prowadzić dom młodego rabina w Haarlemie, i zakochała się w nim. Kiedy rabin na początku lata 1942 roku został wywieziony do Westerborka, Sarah, która była w połowie Żydówką i nie musiała iść do transportu, zdecydowała, że z nim pojedzie.

Mój ojciec leżał przez jakiś czas w szpitalu w Westerborku, choć nie wiem, z jakiego powodu. Początkowo myślałam, że symulował chorobę, bo w szpitalnym baraku było wygodniej i bezpieczniej, ale później dowiedziałam się, że rzeczywiście poważnie niedomagał. Zastanawiam się, czy nie cierpiał z powodu odstawienia alkoholu. W każdym razie wolno mu było wysłać nam co miesiąc kartkę. Dostawaliśmy też informacje od znajomych pracujących w Westerborku, którzy mogli opuszczać obóz. Przesłałam mu nawet kiedyś czekoladę, co jak się okaże, uratuje mi życie. Tę rzekomą normalność kreowano po to, żeby ludzie byli spokojni i się nie buntowali, i wydaje mi się, że odnosiło to odpowiedni skutek. Więźniowie sądzili, że dzięki współpracy będą bezpieczni, ale wszystko stanowiło jedynie fasadę. Między lipcem 1942 roku a wrześniem 1944 roku w każdy wtorek z Westerborka wyruszały pociągi wiozące Żydów do obozów zagłady. Nikt nie mógł uniknąć transportu. Również moja kuzynka i jej mąż. Oboje zostali

zamordowani. Gdyby Sarah nie zdecydowała się pojechać z mężem, możliwe, że jako pół-Żydówka przeżyłaby wojnę, ale kto może mieć jej za złe, że chciała być z mężczyzną, którego kochała? Z Westerborka sześćdziesiąt pięć pociągów pełnych Żydów pojechało do Auschwitz; większość z wywiezionych została zagazowana bezpośrednio po przyjeździe. Dziewięćnaście składów pojechało do Sobiboru, gdzie wszyscy trafiali do komór gazowych; oprócz tego były jeszcze pociągi do Bergen-Belsen i Theresienstadt. Prawie sto siedem tysięcy holenderskich Żydów wyruszyło tą drogą na spotkanie śmierci.

Tego samego wieczoru, kiedy tatę zabrano do Drenthe, leżąc w łóżku, usłyszałam na schodach odgłos ciężkich niemieckich oficerek. Myślałam, że Niemcy przyszli po nas, ale zabrali rodzinę z innego mieszkania. Widocznie tego wieczoru nie było nas na ich liście. Zadziwiające jest to, że choć się bałam, to zdjęłam lokówki na wypadek, gdybyśmy musieli iść do transportu. Głupia próżność młodej kobiety. Trudno sobie wyobrazić, że w takiej chwili myśli się o podobnych rzeczach, ale naprawdę tak było.

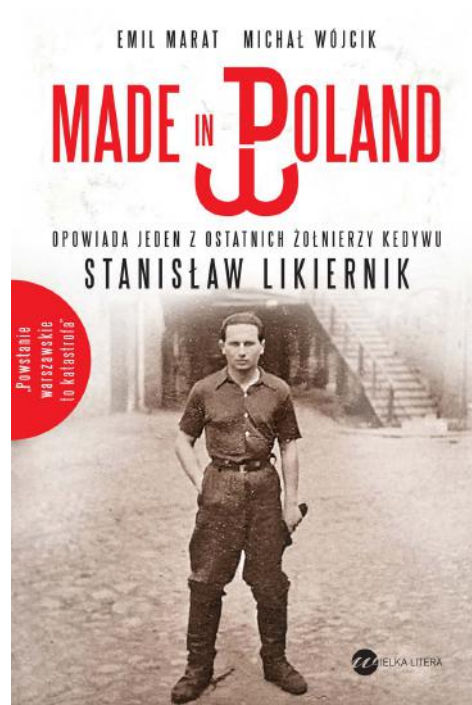
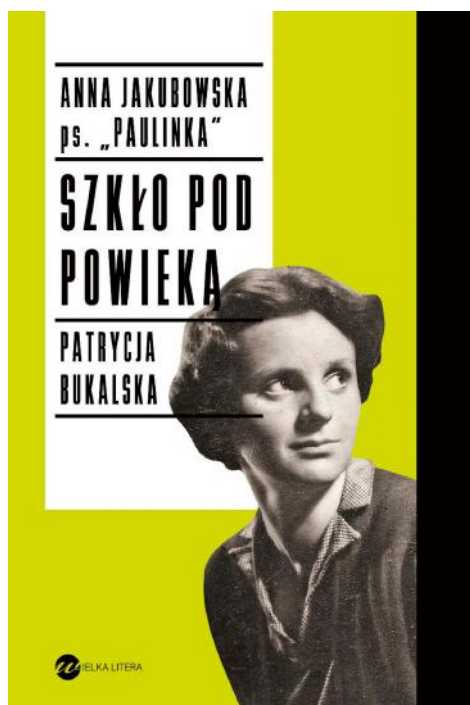
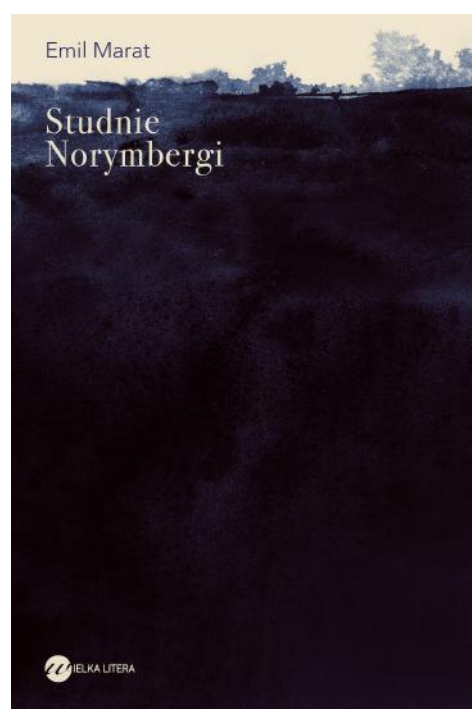
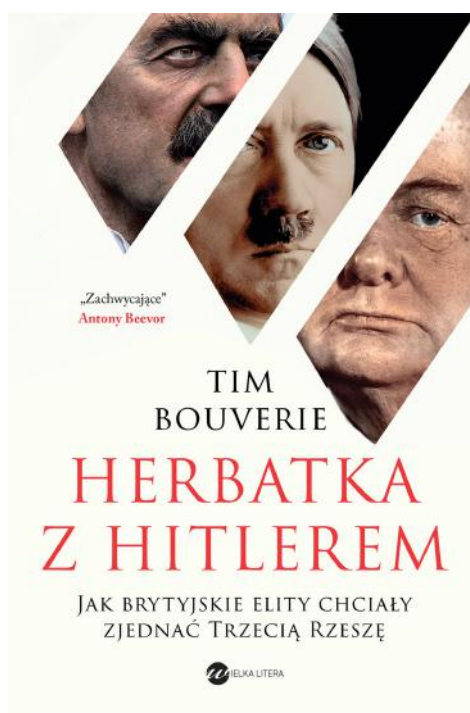
Odgłos wywózki budził trwogę. Słysząc było tupot na schodach i hałas, kiedy niemieccy esesmani i holenderscy policjanci walili w drzwi i kazali wszystkim szybko wychodzić, zarówno młodym, jak i starszym. Okupanci wrzeszczeli na ludzi, kopali ich i bili,

nie zważając na choroby, wiek czy słabość. Zagniali do ciężarówek z pomocą holenderskiej policji. Bardzo wiele osób zabrano do budynku teatru Hollandsche Schouwburg w samym sercu dzielnicy żydowskiej, skąd były wysyłane do Westerborka. Wspomniany teatr wybudowano w 1892 roku. W latach trzydziestych XX wieku wystawiano w nim cieszące się popularnością przedstawienia, rewie i operetki. Wielu niemieckich i austriackich artystów żydowskiego pochodzenia uciekło do Holandii i występowało tam razem z uchodźcami z Europy Wschodniej. Miejsce to emanowało energią, a poziom artystyczny przedstawień był wysoki, jednak od początku okupacji zaczęto odczuwać skutki antyżydowskich rozporządzeń. Teatr przemianowano na Joodsche Schouwburg – teatr żydowski – i zabroniono występów przed inną publicznością niż żydowska. Zakrawa na ironię fakt, że teatr cieszył się tak wielką popularnością, że osoby niebędące Żydami pożyczaly naszywki z gwiazdą Dawida, by móc do niego wejść.

Dalsza historia Hollandsche Schouwburg jest tragiczna. W 1942 i 1943 roku zgromadzono w nim tysiące żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci, by deportować ich do Westerborka. Tylko nieliczni powrócili. Prawdopodobnie mój kuzyn David Roet właśnie tam wyszedł na powitanie śmierci, i niewątpliwie także reszta mojej rodziny.

Więcej o książce przeczytasz [tutaj](#).

Mogą zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze **NOWOŚCI**
Zapraszamy na wielkalitera.pl